

**ZYGMUNT
MIŁOSZEWSKI**
„Gniew”, ostatnią
część trylogii
o Szackim, kupiło
ponad **150 tysięcy**
osób.

**KATARZYNA
BONDA**
Królowa sprzedaży.
„Lampiony”
rozeszły się
w **180 tysiącach**
egzemplarzy.

ZBRODNIA ZA MILION

TEKSTY PIOTR KOFTA

ILUSTRACJE MARTA ZAWIERUCHA

**JUŻ TYLE RAZY SŁYSZAŁEŚ, ŻE POLACY NIE CZYTAJĄ
KSIĄŻEK, ŻE PRAWIE W TO UWIERZYŁEŚ? ZA CHWILĘ
ZMIENISZ ZDANIE. W POLSCE WYROŚŁO POKOLENIE
PISARZY, KTÓRE ZNALAZŁO KLUCZ DO SERC I PORTFELI
CZYTELNIKÓW. TO AUTORZY KRYMINAŁÓW.**



**MAREK
KRAJEWSKI**
Wydaje jedną
książkę w roku. Za
każdą dostaje 100
tysięcy złotych
zaliczki.

**REMIGIUSZ
MRÓZ**
Wydawca nie podaje
liczb. Wiemy, że
prawa do ekranizacji
kilku książek Mroza
zostały już
kupione.

M. 7. 2017

Polska literatura ma się nieźle. Zagraniczni agenci sondują nasz rynek w poszukiwaniu pisarskich talentów, dzięki którym mogliby zarobić krocie w innych krajach. Uwagę skupiają na dwóch gatunkach. W pierwszej kolejności na reportażu – światowej modzie na non-fiction zawdzięczamy to, że zwrócono wreszcie uwagę na znakomitą polską tradycję dokumentalną. W drugiej – koncentrują się na powieściach kryminalnych. Dlaczego? Czy Polska przeżywa boom na kryminał? Na to wygląda. Każdego roku do księgarni trafia ponad sto premier z tego gatunku, a wielu autorów, którzy spoglądają z banerów,

plakatów i stojaków reklamowych, przeszło na zawodowstwo i jest w stanie utrzymać się z literatury (rzadki przywilej w tym fachu). Polacy chcą czytać polskie kryminały.

Dziennikarze, archeolodzy i prawnicy

Ale literatura nie pisze się sama. W wypadku kryminału wymagania są specyficzne, nie wystarczy natchnienie, umiejętność snucia opowieści i trup ładnie wkomponowany w pejzaż. Kryminał to struktura, dyscyplina, dynamika i fakty. Stawia więc przed autorem kwestie nie tyle z dziedziny sztuki, ile swego rodzaju inżynierii. Nic dziwnego

go, że do tego niewdzięcznego zawodu trafiają przeważnie ludzie, którzy nie kształcili się na literatów, ale potrafią systematycznie pracować z dużą ilością danych.

To przede wszystkim dziennikarze (podziękujmy kryzysowi prasy, który zmusił ich, by zaczęli pisać książki): dziennikarzem był przez lata Zygmunt Miłoszewski, najjaśniejsza obecnie gwiazda polskiego kryminału. Dziennikarstwem parali się Katarzyna Bonda, Mariusz

Czubaj, Wojciech Chmielarz czy Gaja Grzegorzewska. Wciąż czynnym reporterem jest Piotr Gluchowski, najlepszy chyba w kraju autor kryminalnego political fiction. Jako radiowiec pracuje Ryszard Ćwirlej. Ale do powieści noir garną się także naukowcy: archeolodzy Jakub Szamałek i Marta Guzowska, filolog klasyczny Marek Krajewski czy prawnik Remigiusz Mróz.

Skandynawowie, Niemcy i Polacy

Czy polski kryminał ma jakąś cechę charakterystyczną, jakiś narodowy czy językowy rys, który wyróżniałby go na tle literatury popularnej innych krajów? Zastanówmy się. Skandynawowie lubią się grzebać w rodzinnych brudach i uprawiać coś na kształt kryminalnej socjologii, Szkoci są plebejsko zabawni, grubiańscy i mają słabość do okrutnych zbrodni. W kręgach niemieckojęzycznych ceni się w kryminale awangardowe pomysły narracyjne i fabularne. U naszych pisarzy znajdziesz wszystkie te atrybuty. Są ludzie, którzy nie bywają w centrum miasta, bo w swojej dzielnicy mają wszystko, co jest im potrzebne do życia. Być może polski kryminał stał się taką właśnie dzielnicą. Chociaż uparcie zalicza się go do kultury popularnej, jest głównym spadkobiercą tradycyjnej literatury realistycznej – i to widać jak na dłoni podczas lektury książek naszych najciekawszych „kryminalistów”.

W POLSKICH KRYMINAŁACH ZNAJDIEMY TROCHĘ SKANDYNAWSKIEGO GRZEBANIA W RODZINNYCH BRUDACH, SZKOCKIEGO PLEBEJSKIEGO HUMORU, GRUBIAŃSTWA I ZAMIŁOWANIA DO OKRUTNYCH ZBRODNI ORAZ NIEMIECKIEJ AWANGARDY W NARRACJI I FABULE. TO WŁAŚNIE TA RÓŻNORODNOŚĆ JEST ICH SIŁĄ.





Mamy w obrębie gatunku dwie wiodące specjalności – obie wykraczają daleko poza banalne myślenie o kryminale jako rozrywkowej historyjce z zagadką zbrodni w tle, a jednocześnie poruszają w Polakach rozmaite czułe struny. Pierwsza specialité de la maison to kryminał historyczny: prekursorem był tu Marek Krajewski. W cyklu o Eberhardzie Mocku nie tyle odkrył, ile stworzył przedwojenny Wrocław, przy okazji przełamując tabu milczenia o niemieckiej przeszłości miasta i regionu. Z kolei Marcin Wroński (polonista z wykształcenia) w swoim rewelacyjnym cyklu o Zygmuncie Maciejewskim wykreował Lublin czasów II RP jako małe, zapyziałe, polsko-żydowskie Chicago, potem poligon nazistowskich eksperymentów rasowych oraz pierwszy przyczółek sowieckiego totalitaryzmu w zniewolonej przez Stalina Polsce. Zapewne też niewiele przesadzę, jeśli powiem, że „A na imię jej będzie Aniela” (2011), trzeci tom serii o Maciejewskim, to jedna z najlepszych polskich powieści wojennych powstałych po 1989 roku.

Oświetlanie historii z nietypowych, nieznanych, wypartych dotąd punktów widzenia to znak firmowy retrokryminału – te zabiegi mogą dotyczyć historii prawie najnowszej, jak w przekomicznej serii Ryszarda Ćwirleja o zapijaczonych poznańskich milicjantach w pułapce kryzysowych lat 80. Albo całkiem antycznej, jak w równie godnej polecenia trylogii Jakuba Szamałka o Leocharesie, działającym w starożytnej Grecji panu od rozwiązywania cudzych problemów.

Barok, Tarantino i perwersja

Druga polska specjalność – współczesny kryminał z mocnym zacięciem społecznym – również od historii nie ucieka. Trupów w szafach nam nie brakuje, Polacy nie umieją żyć bez spoglądania za siebie. Stąd u Zygmunta Miłoszewskiego w trylogii o prokuratorze Szackim wątek nigdy do końca niezrealizowanej lustracji („Uwikłanie”) albo wstydliva spuścizna ludowego antysemityzmu („Ziarno prawdy”). U Katarzyny Bondy zaś w czterotomowym cyklu o profilerce Saszy Załuskiej mowa o narodzinach zorganizowanej przestępczości lat 90. („Pochłaniacz”) czy o ostrym rozliczeniu z politycznym nadużywaniem pojęcia „żołnierze wyklęci” („Okularnik”). Zresztą u Bondy jest pełen kryminalny

barok: i kryminalistyka, i perwersyjne zbrodnie, i rodzinne bebechy, i meandry społecznej pamięci – nikt nie pisze bardziej skomplikowanych powieści niż Bonda, przy czym ów poziom złożoności obraca się niekiedy przeciw samemu tekstowi.

Chcesz gatunkowych purystów wiernych konwencji czarnego kryminału? Sięgnij po książki Wojciecha Chmielarza czy Mariusza Czubaja (choć ostatnia pozycja, „R.I.P.”, to wedle autorskich deklaracji raczej western, tyle że w mazurskich dekoracjach). Chmielarz jest mistrzem intrygi i minimalizmu, nie ma u niego zbędnych słów i zdań, są za to rewelacyjne pomysły fabularne, dogłębna wiedza o społecznych trendach i sposobach działania policji oraz nieco mizantropijne poczucie humoru. Natomiast Czubaj – w jednej osobie praktyk i teoretyk, bo nie tylko pisarz, ale też antropolog zajmujący się kulturą popularną – pisze chyba najbardziej amerykańskie z polskich kryminałów (to komplement).

Na tym się jednak różnorodność oferty nie kończy. Szukasz thrillera medycznego? Sięgnij po książki Błażeja Przygodzkiego. Myślisz o romansie kryminału i archeologii? Zaoferuje wam to Marta Guzowska. Masz słabość do Agathy Christie i Camilli Läckberg? Spodoba ci się seria o Lipowie Katarzyny Puzyńskiej. Lubisz tarantiniowskie klimaty i wielkomięski syf? Czytaj niegrzeczne powieści Gai Grzegorzewskiej. Chcesz się po prostu pośmiać? Czeka Olga Rudnicka. Tę listę można by ciągnąć jeszcze długo.

Maturzyści, redaktorzy, studenci

Nie zawsze jednak było tak dobrze. W 2002 roku Marek Krajewski pracował nad drugą książką z serii o Eberhardzie Mocku – pierwsza, „Śmierć w Breslau”, wyszła w 1999 roku i wciąż mało kto wiedział o jej istnieniu. Ta informacja wyczerpuje kwestię sukcesów polskiego kryminału w owym czasie – nie było żadnych sukcesów, ponieważ nie było nawet autorów. Ci, którzy mieli nimi zostać w przyszłości, chwilowo zajmowali się czym innym: Bonda studiowała, Miłoszewski pracował jako dziennikarz, Czubaj łączył dziennikarstwo z pracą naukową, Wroński dorabiał jako redaktor literacki, Chmielarz przygotowywał się do matury, a Szamałek po prostu chodził do szkoły średniej. Brzmi to niewiarygodnie, lecz to prawda – w 2002 roku w polski kryminał nie wierzył nikt poza osamotnionym ekscentrykiem Krajewskim: ani potencjalni pisarze, ani wydawcy, ani czytelnicy. Żeby zrozumieć źródła później-

szego sukcesu, trzeba najpierw pojąć istotę klęski. To opowieść sięgająca do doświadczeń społeczeństwa epoki późnego PRL-u, szoku transformacji ustrojowej, dzikiego kapitalizmu, potem zaś poskramiania chaosu: poszukiwania wzorców i definicji, które ułatwią orientację na obcym – a zarazem swoim – terytorium.

Badylarze, spekulanci, milicjanci

W PRL-u powieść kryminalna była przede wszystkim narzędziem polityki reżimu – triumfy święcił tzw. kryminał milicyjny, który nie tyle opowiadał historie o zbrodni, ile starał się usilnie fraternizować stróżów porządku z gardzącym nimi narodem.

Poziom tych książek był bardzo różny, od straszliwej grafomanii po całkiem niezłą literaturę, ale w inteligentnym świecie utarła się opinia, że krajowy kryminał to żalosna, kolaborancka amatorszczyzna

traktująca o spekulantach, badylarzach i kradzieży części do traktora z magazynu miejscowego PGR-u. Skompromitowaną konwencję kryminału milicyjnego wykorzysta i wywróci na lewą stronę wspomniany już Ryszard Ćwirlej – ale uczyni to dopiero dwie dekady później. Tymczasem PRL-owscy autorzy chcący uniknąć etykiety grafomanów i kolaborantów uciekali się do rozmaitych trików. Decydowali się choćby na ucieczkę od powagi w błazenadę, pisząc, jak Joanna Chmielewska, kryminalne farsy. Albo, niczym Joe Alex (czyli Maciej Słomczyński), ukrywali się pod brzmiącym z angielska pseudonimem i w pseudobrytyjskich dekoracjach. Z takim bagażem – i dorobkiem, którego najjaśniejszym punktem był prawdopodobnie złamany nos porucznika Borewicza – dowlekliśmy się jakoś do pamiętnego przełomu 1989 roku. Tamy puściły i rynek został zalany zachodnią popkulturą wszelkiego sortu. Ta powódź zatopiła również kryminał. Na dobrą dekadę.

Mieszczanie, dresiarze, gangsterzy

Ale to nie wszystko. Jedna z teorii dotyczących czytelnictwa mówi, że ludzie chętnie sięgają po kryminały wtedy, gdy czują się bezpieczni. Bo kryminał, nawet ponury i smolisty, to maszyna, której paliwem jest przewidywalność i nadzieja; to konwencjonalna rzecz o wdzieraniu się chaosu w uporządkowany świat i skutecznych próbach przywrócenia ładu. Dlatego konsumentami powieści kryminalnych są przeważnie mieszczanie i, szerzej, syta klasa średnia. W latach 90. nad Wisłą, Odrą i Wartą strauumatyzowani, zbiedniali mieszczanie lizali rany po PRL-u, klasa średnia była marzeniem liberalnych publicystów, na ulicach rządziła dresiarzka mafia, a kina miały komplety na gangsterskich komediach. Wojciech Chmielarz wspominał w jednym z wywiadów: – Kryminał zrobił się u nas naprawdę popularny, kiedy spadła przestępczość. To, co się działo w Polsce pod koniec lat 90. zeszłego wieku, było naprawdę przerażające. Struktury państwa były do tego stopnia słabe, że po serii nagłych zgonów przywódców półświatka pytano, kto właściwie teraz rządzi w tym kraju, skoro nie żyją Pershing, Carrington i Nikoś.

NASI PISARZE MAJĄ DWIE GŁÓWNE SPECJALIZACJE. KRYMINAŁ HISTORYCZNY, W KTÓRYM PRYM WIEDZIE MAREK KRAJEWSKI I TEN Z MOCNYM ZACIĘCIEM SPOŁECZNYM. TUTAJ RZĄDZI KATARZYNA BONDA I ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI.



M.R. 2019

Krótko mówiąc, powieścią kryminalną czytelnik zaczyna się interesować dopiero wtedy, kiedy przestaje się bać o siebie, swoją przyszłość, dzieci, dom i samochód.

Krajewski, Brown i „Millennium”

Zdaje się, że to prawda. Ale nie cała. Każda rewolucja potrzebuje zapalnika. Ta miała aż trzy. Pierwszy to paradoksalnie, odkrywanie małych ojczyzn, a szczególnie związana z nim potrzeba przewietrzenia oficjalnej wersji historii, która dała początek retrokryminałowi. – Literatura kryminalna miała niewiele do roboty poza funkcją czysto rozrywkową, dopóki książki z tzw. wyższej półki zaspokajały tę potrzebę nazywania, porządkowania i wartościowania świata. W latach 90. przestały to robić, poza nielicznymi przypadkami popadły w artystowski bełkot – mówił w wywiadzie Marcin Wroński.

Drugim zapalnikiem stał się gigantyczny sukces thrillerów Dana Browna. – Ważnym momentem było ukazanie się „Kodu Leonarda da Vinci”, w grudniu 2003 roku. Nagle okazało się, że ta literatura mówi coś ważnego, że nie jest tylko rozrywką – wspomina Mariusz Czubaj. Niezależnie od tego, jak oceniać Browna i jego książki (osobiście nie cierpię), dla wydawców był to z kolei sygnał, że na kryminał można budować realny kapitał i że warto zacząć się powoli rozglądać za lokalnymi autorami zdolnymi unieść taką narrację. Za trzeci zapalnik – w zasadzie za kompletną bombę wodorową – należy uznać boom na kryminały rodem ze Skandynawii. Najpierw nieśmiało, odpowiednio w 2002 i 2004 roku, przyszli Henning Mankell i Håkan Nesser. Następnie w roku 2008, już z wielkim hukiem – choć pośmiertnie – Stieg Larsson ze swoją trylogią „Millennium”, a za nim cała armia: Johan Theorin, Liza Marklund, Jo Nesbø, Karin Fossum, Camilla Läckberg, Arnaldur Indriðason, Leif GW Persson i wielu innych.

Odkrycie tego świata wiązało się dla wielu polskich czytelników, ale też i aspirujących pisarzy, z głębokim przewartościowaniem wszystkiego, co wiedzieli (albo zdawało im się, że wiedzieli) na temat sztuki pisania powieści kryminalnych. Znacznie bardziej od stawiania klasycznego pytania „kto zabił?” Skandynawów interesowało rozważanie kwestii DLACZEGO, i gdzie przebiega granica między byciem katem a ofiarą.

Zacierali różnice między kryminałem a powieścią obyczajową i psychologiczną. Naturalistycznie opowiadali nie o detektywach-superbohaterach, lecz o żmudnej i nudnej pracy policji. A dogłębne analizowanie aktu zbrodni pozwalało im na używanie kryminału jako narzędzia politycznej i społecznej krytyki (co potem tak zręcznie wykorzysta Miłoszewski w „Gniewie”, trzeciej powieści z cyklu o Szackim).

Skandynawowie byli też – i są – niesłychanie zdyscyplinowani marketingowo: skupieni w dwóch, trzech wyspecjalizowanych agencjach literackich, dostępni dla dziennikarzy, przygotowani do roli ambasadorów nordyckiej literatury, mówiący płynną angielszczyzną. Mogliśmy się więc na żywo przyjrzeć, jak się sprzedaje popkulturowy produkt wysokiej jakości. Kiedy rozpoczął się skandynawski boom, byłem pewien, że polska odpowiedź jest tylko kwestią czasu.

Rzemiosło, samodyscyplina, hiciory

Wróćmy jednak do naszych „kryminalistów”. Co ich łączy poza tym, że uprawiają ten sam gatunek literacki? Na pierwszy plan wysuwa się etyka zawodowa – praktycznie w każdym dłuższym wywiadzie padają deklaracje na temat pisarskiej misji, w tym uwagi wynoszące na piedestał „rzemiosło”, kult pracy i samodyscypliny, potrzebę uważnego dokumentowania każdego elementu książki oraz traktowania czytelnika serio. Budująca jest też środowiskowa solidarność. Praktycznie (z nielicznymi wyjątkami) ze świecą tu szukać jawnych animozji, kłótni, a nawet wiedzionych na poważnie sporów o pryncypia.

To we współczesnej Polsce, rozdarłej na pół, zadziwiająca okoliczność. Przypuszczam, że ma ona związek z marzeniem, wokół którego orbitują myśli najlepszych twórców literatury kryminalnej – marzeniem o „złotym strzale”, przebiciu się na światowe rynki. – Potrzebujemy kogoś, kto zrobi dla polskiego kryminału na świecie to, co zrobił Mankell dla szwedzkiego. Jednego, porządnego hiciora, jednego autora, który przebije się przez mur. Reszta pójdzie za nim tą dziurą, którą tamten wybiję – mówi Wojciech Chmielarz. – To jedyne, czego nam jeszcze brakuje. Tego przełożenia. Nie oszukujmy się, piszemy w języku peryferyjnym – wtóruje mu Mariusz Czubaj.

Jakość, ilość, własny ogon

Temu czekaniu na Godota przy świadomości własnej peryferyjności towarzyszy pewien niepokój. A jeśli boom skończy się tak samo nagle, jak się zaczął? I jeśli polski kryminał – mimo paru zachęcających artykułów w „The New York Times”, „El País” czy „The Independent” – nadal będzie zajmował marginalną pozycję? I co, jeśli czekając, pożremy przy okazji własny ogon?

Zygmunt Miłoszewski już wypisał się z interesu, stwierdzając, że porzuca kryminał, ponieważ nie chce się licytować na okrutne zbrodnie i złe emocje. Katarzyna Bonda twierdzi dla odmiany, że wątki kryminalne w jej monumentalnych powieściach nie są dla niej tak istotne jak warstwa poznawcza i obyczajowa. W dodatku na ścieżce prowadzącej na Olimp ustawia się kolejka sukcesorów, a niektórzy z nich są bardzo niecierpliwi: Joanna Opiat-Bojarska wydała w 2016 roku trzy powieści, choć to i tak nic w porównaniu z Remigiuszem Mrozem, który wypuścił ich siedem. SIEDEM. Można konkurować jakością, można najwyraźniej także ilością. Oby tylko nie okazało się, że za parę lat jedynym śladem po kryminalnym boomie będą tuziny z metra ciętych książek Mroza, Opiat-Bojarskiej oraz im podobnych literackich hurtowników. Pociuszające jest natomiast to, że nawet Mankell i Nesser kisili się blisko dekadę w szwedzkim sosie, nim świat uznał ich za gwiazdy gatunku. 14

